

Na wschodniej flance NATO – 1

1 marca 2017

NIE CZEKAMY NA PUTINA

Europarlament, 14 lutego 2017 r. Kolejna debata o wojnie w Donbasie. Od stycznia media zalewają drastyczne obrazy. OBWE alarmuje: eskalacji walk winne są obie strony. Organizacja ma obserwatorów w terenie, wydawałoby się, że wie, co mówi, kiedy wyrokuje, że sytuacja nie jest czarno-biała. Ale eurodeputowani myślą inaczej. Dajmy Ukrainie broń, zaostrzmy sankcje wobec Rosji – to stanowisko większości mówców. Kiedy odzywają się głosy bardziej wyważone, zwracające uwagę na wnioski z raportu OBWE właśnie, dyskusja zamienia się w oskarżenia, że nie dość antyrosyjskim deputowanym po prostu płaci Putin. Gwiazdą debaty jest Łotyszka Sandra Kalniete.

To prawicowa europosłanka w kraju związana z partią Jedność, która z kolei jest jednym z kluczowych ugrupowań na łotewskiej scenie politycznej, reprezentatywnym dla politycznego kursu, jakim poszedł ten kraj, odkąd buduje od 1991 r. swoją drugą niepodległość. Wizja świata, jaką prezentuje Kalniete, też jest emblematyczna. Europosłanka przestrzega przed rosyjską inwazją, najgłośniej domaga się nowych sankcji. Gdyby nie te, które już obowiązują, przekonuje, Władimir Putin z całą pewnością prowadziłby już kolejną wojnę. – W naszym interesie jest zatrzymanie Putina, zanim wkroczy do innych krajów w Europie – wieści polityczka. Nie musi dodawać, jakie „inne kraje” ma na myśli. O tym, że Łotwa, Litwa i Estonia cały czas muszą bać się rosyjskiej inwazji, słyszymy bezustannie. Nie od ostatniego szczytu NATO, który zdecydował o wysłaniu do nich dodatkowych żołnierzy, nawet nie od Majdanu, Krymu i Donbasu. Od 1991 r.

Dlaczego Putin miałby napaść na trzy małe kraje nazywane jednym ciągiem „państwami bałtyckimi”? Tego też tłumaczyć nie trzeba. Niemal 30 proc. Łotwy mówi po rosyjsku, a to znaczy,

że Rosja ma znakomity powód, żeby zbrojnie interweniować, uzasadniając to ich obroną. Oni, niełotysze, tylko na „bratnią pomoc” czekają. Słyszeliście? Musieliście. Łotewscy politycy, a po nich „niezależni eksperci”, także w Polsce, powtarzają to od dwudziestu sześciu lat. A ponieważ problemu nie wystarczy zdefiniować, wdrażają też praktyczne rozwiązanie. Receptą na potencjalny antagonizm stało się jego zaostrożenie. Pokazanie palcem, kto dobry, kto zły. Kogo rząd w Rydze widzi na swoim terytorium, a kto, w myśl hasła obiegającego na przełomie lat 80. i 90. wszystkie demokratyczne fronty ludowe i ruchy wyzwolenicze narodów ZSRR, ma pakować walizkę, udać się na dworzec i wyjeżdżać do Rosji. Którzy mieszkańcy, nawet urodzeni już na Łotwie, mogą nadal spokojnie w jej granicach żyć, a którzy muszą mozolnie udowadniać, że na takie prawo zasłużyli. Albo pogodzić się z funkcjonowaniem jako nepilsoni, „nieobywatele”, mieszkańcy drugiej kategorii.

Kto jest na Łotwie mile widziany? Powstające w 1991 r. państwo przyjęło doktrynę „legalnej kontynuacji”. Ogłosiło, że poprzednie 51 lat było jedną nieprzerwaną okupacją. Dokładniej rzecz biorąc trzema, bo najpierw była krótka i przerażająca okupacja radziecka w 1940 r., potem nieco dłuższa i nieco mniej straszna okupacja nazistowska, a wreszcie kilka dekad koszmaru drugiej okupacji radzieckiej, okres, podczas którego Sowietów, czyli Rosjan, poddawali nieustannym represjom Łotysze, a ci z kolei, jak tylko mogli, bronili się.

Ukaranie sprawców prawdziwych zbrodni, do których doszło w czasach stalinizmu na Łotwie tak samo, jak gdzie indziej w ZSRR, było poza zasięgiem łotewskich władz. Łatwo za to było przenieść ich winy na tę ludność rosyjskojęzyczną, która była pod ręką. Z myślą o tym sformułowano warunki uzyskiwania obywatelstwa nowej/odrodzonej Łotwy. Mogli je nabyć ci, którzy potrafili dowieść, że oni sami lub ich przodkowie mieli taki paszport przed 1940 r. Tym, którzy przyjechali później, choćby założyli tu rodzinę i pracowali, a także ich dzieciom urodzonym przed 1991 r., postawiono warunki. Podstawowymi była

biegła znajomość łotewskiego, kultury i historii Łotwy, obietnica na wierność konstytucji, stałe źródło dochodu. Do tego trzeba było zmieścić się w kwocie przedstawicieli poszczególnych grup wiekowych, którzy w danym roku mogli uzyskać obywatelstwo. Na wszelki wypadek państwo łotewskie zastrzegło sobie, że i tak może odmówić osobie, która w jego mniemaniu działała na jego szkodę.

Motywację budowniczych łotewskiego państwa stara się tłumaczyć polski dyplomata Jerzy Kozakiewicz, rodzinnie zresztą z terytorium dawnej Kurlandii związany. Orędownicy łotewskiej niepodległości, pisze, mieli prawo się bać, że staną się mniejszością we własnym kraju, pisał w wydanej w 2003 r. „Polityce bezpieczeństwa państw bałtyckich”, gdy patrzyli na statystyki demograficzne, a w nich widzieli tylko nieznaczną przewagę Łotyszy (52 proc. w 1989 r., 57 proc. trzy lata później). Mogli wyobrażać sobie, że w kraju pozostanie potężna grupa ludzi, która tak naprawdę nigdy nie będzie się z nim identyfikować, tym bardziej w świetle faktu, że Łotwscy Rosjanie raczej niechętnie patrzyli na rozpad ZSRR.

W 1991-1992 r. lęki małego narodu łotewskiego, nawet jeśli nieco przesadzone (Łotysze przez większość swojej historii nie mieli przecież państwa, a jednak przetrwali, nie zniknęli), mogły jeszcze wybrzmiewać pewną logiką. Ale czy nic się nie zmieniło przez dziesięć, dwadzieścia lat? Czy to nie dość czasu, by zrozumieć, że nieobywatelom nie w głowach urządzenie antyłotewskiej dywersji? Odmierna jest także sytuacja geopolityczna, Łotwa jest w Unii Europejskiej, weszła do strefy Schengen, co ma dla mieszkańców niezaprzeczalne zalety. Doszedł jeszcze w 1999 r. do rozważenia przykład sąsiedniej Litwy, która dała obywatelstwo wszystkim chętnym, nie patrzyła na narodowość ani na to, czym zainteresowany zajmował się przed 1991 r. Zgodnie z łotewską logiką południowy sąsiad sam w tym momencie skazał się na rozpad. A jednak rozpad nie nastąpił.

Łotwa poszła w inną stronę. Roczne kwoty nieobywateli w 1998

r. zniesiono. Wtedy też wprowadzono łatwiejszą ścieżkę nabywania paszportów przez ich dzieci, ale tylko te nieskażone okupacją, urodzone po 1991 r., do tego tylko na wniosek rodziców, w żadnym wypadku z automatu. I to by było na tyle, jeśli chodzi o zmiany w przepisach, które miały być tymczasowe, miały obowiązywać do momentu, gdy państwo łotewskie okrzepnie i wypracuje jakąś formułę radzenia sobie z wieloetnicznością. Przynajmniej tak zapewniano instytucje europejskie, do których Łotwa chciała wstąpić już od 1993 r. Te udawały, że wierzą, albo że nie widzą problemu, czasem skrytykowały najbardziej restrykcyjne przepisy, ale tylko w słowach. Integracji demokratycznej Łotwy z wolną Europą to nie zatrzymało.

A nieobywatele pozostali, pozbawieni praw wyborczych na każdym poziomie, nawet w wyborach samorządowych, bez prawa do zakupu ziemi, możliwości wykonywania niektórych zawodów. W 2016 r. spis powszechny wykazał, że jest ich 252 017 osób, prawie 12 proc. mieszkańców całego kraju. Fakt, prawie trzy razy mniej, niż na samym początku istnienia Łotwy, ale jednak nadal niemało, jeśli wziąć pod uwagę, jak poważnym problemem dla Łotwy jest migracja zarobkowa, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Tylko w latach 2000-2011, według różnych szacunków, za granicę ruszyło ponad 300 tys. ludzi. Czy nie lepiej byłoby tworzyć przyjazne warunki dla tych, którzy chcą zostać? Pogodzić się z tym, że Łotwa nigdy nie będzie etnicznie jednorodna? Pozwolić identyfikować się z tym państwem wszystkim, którzy czują, że właśnie tutaj są u siebie? Bo przecież w gruncie rzeczy właśnie tak się czują. Nie wyjechali, chociaż państwo tak usilnie dawało im do zrozumienia, że ich nie chce. Nie są mu przeciwni, nie w głowach im urządzenie antyłotewskiej dywersji. Chcą normalnie żyć, jak ludzie na całym świecie. Nieważne. I tak systematycznie słyszą i czytają w mediach, że stanowią zagrożenie. Niedawno łotewscy narodowcy z aliansu Zjednoczenie Narodowe „Wszystko dla Łotwy!” – TB/LNNK głośno protestowali przeciwko przyjmowaniu uchodźców, twierdząc, że Łotwa już ma dość niebezpiecznych przybyszów – sowieckich

osadników, którzy nie chcą się wynieść. Nie mają nawet statusu mniejszości narodowej, język rosyjski jest traktowany jak obcy, nijak z tymi ziemiami niezwiązany.

Władimira Sokołowa, założyciela Związku Obywateli i Nieobywateli Łotwy, przewodniczącego organizacji społecznej Rosyjska Wspólnota Łotwy, najbardziej boli to, że tak naprawdę nie trzeba daleko szukać, by udowodnić, że kluczem do sukcesu Łotwy wcale nie jest marginalizowanie Rosjan i innych mniejszości. Wystarczy zajrzeć do własnej historii, zachęca „gorliwych patriotów”. Cofnąć się do pierwszej niepodległości, o której przecież tak chętnie się mówi, przypomnieć sobie pierwszego prezydenta Janisa Čakstego i jego czasy. Wtedy Łotwa też nie była jednorodna, w 1925 r. inne narodowości stanowiły 26,6 proc. populacji. Byli Rosjanie – w tym przodkowie samego Sokołowa, którego rodzina, staroobrzędowego wyznania, uciekła do Kurlandii jeszcze w XVII w. Była wpływowa, zamożna społeczność niemiecka. Byli Żydzi. Wszystkie mniejszości miały swoich przedstawicieli w parlamencie, ci przemawiali w swoim języku. Rosyjski i niemiecki, chociaż nie były językami urzędowymi, nie były również sprowadzone do statusu całkowicie obcych. A czy wtedy położenie geopolityczne Łotwy było tak bardzo różne od dzisiejszego? Czy to przez swoją wieloetniczność Łotwa najpierw przestała być demokratyczna, a potem straciła niepodległość? Poważni badacze na obydwa pytania odpowiadają: nie.

Ale są i prostsze rzeczy, mówi Sokołow, których rządzący nie rozumieją albo rozumieć nie chcą. Na przykład to, że nie każdy mówiący po rosyjsku mieszkaniec Łotwy jest Rosjaninem i nie każdy ma takie same poglądy polityczne. To nic nadzwyczajnego, przecież mówimy o społeczności na tyle licznej, że to już właściwie więcej niż społeczność. Język, jako narzędzie komunikacji, łączy ludzi, ale dzieli ich pochodzenie społeczne, środowisko, wykształcenie, ambicje i cele życiowe, zainteresowania. Czy nawet to, że tyle samo, co nieobywateli jest na Łotwie rosyjskojęzycznych, którzy obywatelstwo jednak

mają. Nie mówiąc o tożsamości, która jest przecież indywidualną sprawą, niemierzalną, nieobiektywną. Nawet Sokołow, który na rzecz rosyjskojęzycznych działa od kilkunastu lat, kontaktuje się z ludźmi w różnym wieku i załatwia różne sprawy, nie podejmuje się prognozowania, jaka samoświadomość przeważy w kolejnym pokoleniu. Przecież nie można wykluczyć, że część rosyjskojęzycznych wybierze asymilację, albo że będą się czuli Europejczykami o wschodnich korzeniach. Mówienie, że wszyscy nienawidzą niepodległej Łotwy albo że czekają na Putina, by zacząć trzecią okupację, to kompletny absurd.

Tym bardziej teraz, po płonącym domu związków zawodowych w Odessie i tragedii Donbasu, dodaje Sokołow. My tu wojny nie chcemy, powtarza. Możemy być rozgoryczeni, możemy czuć się odrzuceni i dyskryminowani, ale lepsze już to, niż znaleźć się na linii frontu. Sceny z Odessy oglądali tutaj wszyscy i zastanawiali się: jak można z zimną krwią zabijać, jak można dręczyć ciężko rannych, nie udzielić pomocy umierającym ludziom. Bali się zastanawiać, czy coś podobnego mogliby zrobić rodzimi nacjonałisci z Łotwy, którzy przecież swobodnie działają, w mniemaniu władz nie stanowią żadnego zagrożenia. Jeśli ktoś był na tyle zdesperowany, by w skrytości ducha jednak czekać na obrońców ze wschodu, to właśnie się rozmyślił. Niech Putin tu nie przychodzi, damy sobie jakoś radę.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu